

Sławomir Skrobała

## Tęsknota za wielkim formatem



Akt z cyklu „The Door in the Floor”. Zdjęcie powstało około 1993 roku.

# Tęsknota za wielkim formatem

**Ze Sławomirem Skrobałą, znanym leszczyńskim fotografem, dziennikarzem i fotoreporterem „Panoramy Leszczyńskiej” – rozmawia Krzysztof Szymoniak**

**– Na tę rozmowę umówiliśmy się w Osiecznej pod Leszkiem, w podmiejskiej hacjendzie i pracowni Sławka Skrobały nazywanej Winnicą. Warto przypomnieć, że jest 25 sierpnia 2011 roku, dzień urodzin gospodarza. To przypadek, czy świadomy wybór?**

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu czwartek jest jedynym dniem w tygodniu, kiedy mam odrobinę czasu na takie spotkanie i taką rozmowę. Tak się więc sympatycznie złożyło, że w ten dosyć nietypowy sposób zaczynam świętować swoje 48 urodziny. Użyłem słowa „zaczynam”, bo jest godzina 9 rano, co w moim przypadku oznacza niemal środek nocy.

**– Jak się czuje 48-letni człowiek, który przez niemal całe dorosłe życie robił głównie zdjęcia?**

– Mam duszę 18-latką i nie jestem w tej materii chyba wyjątkiem. Natomiast najbardziej cieszy mnie fakt, że jestem sprawny fizycznie, co w moim zawodzie nie jest bez znaczenia.

**– Wykonujesz niezwykle dynamiczny zawód, który – jak wiele innych – jest sposobem zarabiania na chleb. Nadal odnajdujesz w sobie tak zwaną radość fotografowania?**

– Powiem szczerze, że coraz rzadziej, aczkolwiek nadal mam ochotę fotografować coś dla siebie, do tak zwanej szuflady. Mam mnóstwo zdjęć, które zrobiłem z myślą o kolejnym projekcie, a gdy projekt kończyłem to... nigdy nie ujrzał on światła dziennego. Interesuje mnie głównie

fotografia społeczna, nazywana też fotografią socjologiczną lub humanistyczną. Interesują mnie ludzie, środowiska różnego typu oraz to, co robią, jak funkcjonują. Fotografuję na tyle długo i przeszedłem przez tyle etapów fotograficznego wtajemniczenia, że dzisiaj mogę już nie mieć wątpliwości, co jest moim powołaniem.

**– Skoro mowa o etapach twojej drogi fotograficznej, to od razu zapytam o najważniejsze z nich.**

– Oprócz fotografii społecznej, którą uprawiam obecnie w czasie wolnym (choć jest ona często powiązana z uprawianym przeze mnie zawodem), w przeszłości zajmowałem się fotografią krajobrazową oraz minimalizmem.

**– Mamy więc z grubsza zarysowany portret fotografa, portret, do którego za chwilę wrócimy, najpierw jednak chciałbym cię umiejscowić w czasie i przestrzeni. Skąd pochodzisz?**

– Urodziłem się w Lesznie, a od drugiego roku życia mieszkam w Osiecznej. Lubię tutejszą ciszę, spokój i błogostan. Może brzmi to kuriozalnie w kontekście wykonywanego przeze mnie zawodu, ale prawdą jest, że te klimaty nadal są mi niezbędne do życia, ponieważ pozwalają wyciszyć się i skupić na rzeczach ważnych i dla mnie istotnych. Na moją zawodową codzienność składa się ruch, dynamika, charakteryzuje ją mobilność i adrenalina, a wszystko to jest okraszone nieprzewidywalnością zdarzeń oraz dyspozycyjnością 24 godziny na dobę. Kiedy więc mogę się z tego wyrwać, tym chętniej wracam do ciszy i spokoju. Tutaj mogę się skupić nad czymś istotnym, tutaj porzucam



Połowa lat 90. Wieś Bieżyń w Wielkopolsce. Staruszka przed swoim domem. Zapadnięty dach, brak prądu, wody, węzła sanitarnego, wilgoć. Braki te najwyraźniej nie przeszkadzały staruszce, skoro nie chciała wyprowadzić się do mieszkania proponowanego jej przez gminę. Ostatecznie zamieszkała w kontenerze mieszkalnym postawionym przez gminę obok walącej się chałupy. Pomimo biedy i złych warunków mieszkalnych emanowała poczuciem humoru i zadowoleniem z życia.

samochód na rzecz roweru lub własnych nóg. Odpoczywam jeżdżąc dużo rowerem i spacerując.

### **– Od czego zaczęła się w twoim życiu przygoda z fotografią?**

– Miałem 9 lat i zbliżały się moje urodziny. Kiedy rodzice zapytali, jaki prezent chciałbym z tej okazji dostać, palnąłem – aparat! I tak zostało. Kupili mi prostego boxa. Ubolewałem kiedyś nad tym, że nie był to Druh tylko Ami 66, bo jak na tamte czasy Druh wyglądał dużo poważniej. W sumie – Ami 66 było jakie było i, na szczęście, zdjęcia robiło, więc fotografowałem z zapałem, ale nie namiętnie. Dopiero po przedwczesnej śmierci rodziców, mając chyba z 18 lat, kupiłem aparat Smiena 8M i od czasu do czasu coś nią fotografowałem, oczywiście z zapałem, ale znowu niezbyt namiętnie.

### **– Osiemnaście lat... To jest wiek, kiedy u wielu dzisiaj uznanych fotografów krystalizowały się poglądy i postawy artystyczne.**

– A ja, po krótkim epizodzie z nowym aparatem, znowu zrobiłem sobie przerwę w fotografowaniu. Dopiero, gdy miałem 23, może 24 lata, mój serdeczny kolega, który był zapalonym fotografem amatorem, namówił mnie na kupno lustrzanki i zorganizowanie ciemni fotograficznej. Obiecał, że wszystkiego mnie nauczy, jeżeli tylko zaopatrzę się w przyzwoity sprzęt. Nabyłem więc spod lady w Poznaniu, u litościwej pani w znanym kiedyś sklepie na Świętym Marcinie, Zenita 12XP. Potem, od wspomnianego kolegi, który potrzebował szybkiego dopływu gotówki, odkupiłem powiększalnik, a z czasem całe niemal wyposażenie ciemni, ciągle licząc na to, że wszystkiego mnie nauczy. Efekt tej nauki był taki, że musiałem kupić trudnodostępne wtedy podręczniki i krok po kroku zacząć samodzielnie poznawać tajniki podstawowych procesów fotochemicznych. I tak, linijka po linijce, metodą prób i błędów, doszedłem do jakiejś takiej biegłości w obrębie ciemni mokrej. A, na przykład, zaczynając tę edukację, nie wiedziałem, że papier wy-

jęty z opakowania naświetla się przy włączonym zwykłym świetle elektrycznym. Zgroza! Mając więc dobry aparat, powiększalnik, koreks, kuwety i całą resztę wyposażenia, ja – dorosły facet – zaczynałem edukację fotograficzną praktycznie od zera. Nigdy jednak strona techniczna fotografii nie interesowała mnie tak, jak zajmowała mnie strona estetyczna. Owszem, eksperymentowałem z chemią i pod powiększalnikiem, przez jakiś czas zajmowałem mnie fotomontaż, do którego wróciłem później, w erze komputerów, ale czułem, że mój świat jest gdzie indziej. A to „gdzie indziej”, gdyby się zastanowić, ujawniło się już w pierwszym moim zdjęciu, które zrobiłem mając 9 lat. Na tym zdjęciu widać skaczącego cielaka. Zwierzę biegło, podskoczyło i w tym momencie zostało uchwycone w moim dziecięcym kadrze. Czyli już wtedy interesowała mnie fotografia, która chwyta akcję, ruch, pracę ludzi, jednym słowem ciągnęło mnie ku fotografii dynamicznej.

### **– I ciągle mówimy o Osiecznej i Lesznie, jako miejscu, gdzie rozgrywa się historia twojego życia.**

– Oczywiście. Tutaj uczyłem się pracy w ciemni, tutaj czytałem literaturę fachową i tutaj zacząłem patrzeć na fotografię, jak na rodzaj aktywności artystycznej. To, czego mi wówczas brakowało, to profesjonalnie zorganizowanego środowiska fotograficznego, na przykład takiego, jakie istniało w Lesznie w latach 60. XX wieku, a z którym z przyczyn oczywistych nie mogłem się zetknąć. Byłem na to za młody. Późniejsze, także za moich czasów, próby reaktywowania działań klubowych na wyższym poziomie już się nie powiodły. Szkoda, że tak duże miasto nie ma czegoś na kształt Średzkiego Towarzystwa Fotograficznego, czy Kolskiego Klubu Fotograficznego, które w swoich miejscowościach stymulują ambitniejszą twórczość i kultywują lokalne tradycje. A przecież Leszno zapisało się na kartach historii fotografii jako miejsce w którym żył i tworzył Ottomar Anschütz, wynalazca migawki szczelinowej, która zrewolucjonizowała budowę aparatów fotograficznych i stała się przyczynkiem do rozwoju kinematografii



Znak czasów – jedna z dwóch giełd samochodowych w Lesznie, w pierwszej połowie lat 90. Na zdjęciu większa i popularniejsza giełda, pod wiaduktem. W tamtych czasach handel samochodami odbywał się głównie na giełdach, gdzie królowało błoto, rezydowali karciani oszuści. A wszystko to okraszone było dymem i swojskim zapachem przypalonej na grillu kiełbasy.



## **– Gdzie i w kim więc znalazłeś wtedy oparcie?**

– Moim pierwszym poważnym kontaktem środowiskowym, były spotkania z Jerzym Olkiem, prowadzącym w tym czasie wrocławską galerię „Foto Medium Art”. Zaczęło się od lektury miesięcznika „Foto”, w którym przeczytałem artykuł o nim, o jego działalności i twórczości osób z nim związanych. A że było mi blisko ideowo i estetycznie do tych działań, to napisałem do niego list. Po jakimś czasie otrzymałem odpowiedź i propozycję, aby przesłać mu i w ten sposób zaprezentować na roboczo swoje zdjęcia. Po tej konfrontacji otrzymałem zaproszenie na jego słynne wówczas warsztaty, które odbywały się w domowej galerii „ef” w Starym Gierałtowie nieopodal Kłodzka i granicy czeskiej. Jerzy prezentował tam własną kolekcję miniatur i organizował cykl warsztatów artystycznych pod nazwą „Uczestnictwo we wspólnocie”, w których miałem przyjemność brać udział, obok wielu znanych i uznanych fotografów. Bywali tam na przykład Andreas Müller-Pohle, Eva Rubinstein, J. Swoboda. Zresztą ci warsztatowi goście, jak wspominał nieraz Olek, bywali raz po raz zatrzymywani przez ówczesną straż graniczną i podejrzewani o szpiegostwo. Jerzy musiał wtedy interweniować i tłumaczyć komu trzeba, że zatrzymano zupełnie niewinnych artystów. Tak więc Warsztaty Gierałtowskie były dla mnie pierwszą poważną szkołą fotografii. Poznałem tam wielu wspaniałych ludzi, także tam zaczęła się moja przyjaźń fotograficzna z nieżyjącym już Andrzejem Mielcarkiem. Chłopak z Łodzi, niezwykle utalentowany, zapowiadał się znakomicie, ale odszedł przedwcześnie w tragicznych okolicznościach. Zanim jednak do tego doszło, odbyliśmy wspólnie kilka fotograficznych wypraw – ja bywałem w Łodzi, on przyjeżdżał do Osiecznej. Z czasem okazało się, że jego wujek pochodzi z Leszna, a w Osiecznej był dyrektorem sanatorium dla dzieci i młodzieży. Znajomość i przyjaźń z Andrzejem była dla mnie bardzo ważna. Godzinami rozmawialiśmy, często telefonicznie, o fotografii, sztuce i naszych planach. Miałem też kontakty z Jeleniogórką Szkołą Fotografii. Przez pewien okres spotykałem się z Ewą Andrzejewską i Wojciechem Zawadzkiem. Poznałem ich dzięki Januszowi Nowac-

kiemu, założycielowi i wieloletniemu szefowi poznańskiej Galerii „pf”. Janusz potrafił w tamtych czasach skonsolidować środowisko, ludzie chętnie spotykali się na plenerach, warsztatach. Te ostatnie kontakty zaowocowały tym, że próbowałem fotografować kamerą wielkoformatową. Okazało się jednak, że fotografia wielkoformatowa, niewątpliwie fascynująca jako metoda, wymaga czasu, spokoju, a tego zazwyczaj mi brakowało. Dzisiaj pozostał mi za tamtą epoką rodzaj fotograficznej tęsknoty, kasety do błon wielkoformatowych i może jakaś zapomniana klisza. To była fantastyczna przygoda – długie czasy ekspozycji, mozolne ustawianie aparatu, komponowanie obrazu – bez porównania inne niż w fotografii migawkowej – myślenie o kadrze i jego zawartości.

## **– Reasumując, powiedz czego się wtedy nauczyłeś, a co ci zostało w myśleniu fotograficznym do dzisiaj?**

– Nabyta przed laty świadomość kadru otworzyła mi później na dokument i fotoreportaż prasowy, a nawet na fotografię socjologizującą. Czystość kadru, kopiowanie pełnej klatki bez kadrowania procentuje do dziś, pomaga w pracy, również w fotografii reporterskiej.

## **– Wróćmy więc do rzeczywistości i Twojego życia. W jaki sposób zostaje się fotografem prasowym?**

– Najpierw, jako tak zwany artysta, pracowałem zawodowo jako... o pewnych faktach wolę nie mówić, ponieważ uważam, że są one bez znaczenia. Potem, przez bodajże dwa lata, prowadziłem własną działalność gospodarczą związaną z fotografią rzemieślniczą. Jednak większość klientów, którzy się do mnie zgłaszali po typowe usługi fotograficzne, nie rozumiała mojej fotografii, natomiast ja nie rozumiałem ich oczekiwań i potrzeb estetycznych. Oni chcieli wyglądać na zdjęciach ładnie, a ja robiłem im portrety prawdziwe. To musiało się źle skończyć. Kiedyś w moim zakładzie odwiedził mnie Janusz Nowacki, z którym doszliśmy do wniosku, że mój biznes to kompletne nieporozumienie. Po prostu nie potrafiłem



Nietrzeźwy mężczyzna z zakrwawioną twarzą leży na ulicy, czym wzbudza zainteresowanie przechodniów. Mężczyzna później wykazał się wyjątkową agresją w stosunku do strażnika miejskiego i fotoreportera. Zestaw czterech zdjęć zatytułowanych „Burda” wyróżniono w konkursie Polskiej Fotografii Prasowej w 1998 roku.



oddzielić solidnego rzemiosła usługowego od ciągłot artystycznych.

**– Dojrzałeś więc do podjęcia kolejnej życiowej decyzji...**

– Był przełom lat 80. i 90. redakcja „Gazety Poznańskiej” szukała piszących fotoreporterów. Pojechałem do Poznania na rozmowę kwalifikacyjną, a redaktor Łuczak mówił mi, żebym znalazł w Lesznie lub okolicy jakiś *small business*, obfotografował go i napisał tekst. Nie miałem pojęcia, co to jest, bo mało kto wtedy wiedział o istnieniu tak właśnie określanego zjawiska. Znalazłem w niedalekim Krzywiniu małą rodzinną piekarnię. Spędziłem w piekarni trochę czasu, porozmawiałem z pracownikami i właścicielem, zrobiłem zdjęcia, a gotowy materiał wysłałem do Poznania. Po kilku dniach zadzwonił do mnie ktoś z Poznania z informacją, że materiał i zdjęcia są bardzo dobre i zapraszają do współpracy. Tak to się zaczęło. Co ważne, w tej branży byłem kompletnym dyletantem. Nikt mnie nie prowadził, nie uczył zawodu. Wszystkiego musiałem nauczyć się sam, realizując zlecane tematy. Redakcja rzuciła człowieka na głęboką wodę i albo pływałeś, albo szedłeś na dno. Ja utrzymałem się na powierzchni. Pierwszy duży, całostronicowy materiał interwencyjny z jednym niestety zdjęciem, jaki mi w miarę szybko opublikowano, dotyczył zanieczyszczonego jeziora w mojej miejscowości. Przez wiele lat byłem wolnym strzelcem, związanym głównie z „Gazetą Poznańską”, która dała mi legitymację prasową i błogosławieństwo na działania w terenie. Współpracowałem z „Głosem Wielkopolskim”, „Expressem Poznańskim”, a w drugiej połowie lat 90. z poznańskim oddziałem „Gazety Wyborczej”. Publikowałem i nadal publikuję na łamach krajowej prasy codziennej oraz w tygodnikach opinii.

Pamiętam, że w początkowym okresie mojej kariery, publikowałem za śmieszne pieniądze zdjęcia na łamach „Expressu Poznańskiego”, znanej wtedy popołudniówki. Robiłem to ze względu na to, że mogłem współpracować z młodymi ludźmi, rozumiejącymi fotografię, którzy dbali o to, aby dobre zdjęcie było świetnie wydrukowane. Mam na myśli stronę techniczną i edytorską.

**– W którym roku zacząłeś pracować w „Panoramie Leszczyńskiej”?**

– Pracując dla „Gazety Poznańskiej”, jak już wspomniałem, współpracowałem z innymi tytułami. Jednym z nich była „Panorama Leszczyńska”, do której przeszedłem w pierwszej połowie lat 90., około roku 1994. Termin rozmywa mi się w powodzi wielu publikacji w wielu tytułach. A samej genezy tego przejścia dziś już nie pomnę. Niewątpliwie zdecydowały o tym czynniki ekonomiczne, no i wygoda – bliskość domu, możliwości pracy dla siebie, ze względu na większą ilość czasu wolnego, wynikającego z innego cyklu wydawniczego oraz, jak mi nie mam, moje umiejętności. Bo należy pamiętać, że nikt nie zaprosi cię do współpracy tylko dlatego, że chcesz coś robić, jeżeli nie jesteś dobry w tym, co robisz.

**– Przejście z dziennika regionalnego do tygodnika obejmującego zasięgiem byłe województwo leszczyńskie, niosło za sobą jakieś wyraźne zmiany?**

– Najbardziej odczuwalna była zmiana rytmu pracy. Po tempie, jaki narzucał dziennik, tygodniowy cykl wydawniczy zdawał mi się nieprzyzwoicie leniwy. Przez pierwszy rok fotografowania dla „Panoramy Leszczyńskiej” miałem wrażenie, że w mieście i województwie nic się nie dzieje, że przesiadłem się z TGV na rower. Przy okazji zyskałem trochę czasu na inne działania fotograficzne. Zacząłem realizować to, na co nie miałem do tej pory czasu oraz pracować nad nowymi projektami. Ponownie zacząłem wysyłać zdjęcia na konkursy. Mówię „ponownie”, bowiem robiłem to już wcześniej, i nieraz przynosiło to wymierne efekty: na przykład pod koniec lat 80. zdobyłem Grand Prix w ogólnopolskim konkursie Konfrontacje, organizowanym przez Leszczyńskie Stowarzyszenie Twórców Kultury. Zdołałem też wyróżnienie za fotomontaż w konkursie „Księżyc” organizowanym przez miesięcznik „Foto”, oraz nagrodę-wyróżnienie w jednej z edycji Konkursu Fotografii Prasowej za zestaw „Burda”. Kolejny sukces, to wygrany prestiżowy konkurs fotografii prasowej Wielkopolska Press Photo



Leszczyński piekarz Andrzej Gawlicki jest miłośnikiem młynarstwa i wszystkiego, co z nim związane. Przez pięć lat fotografowałem demontaż i przenosiny wiatraka, kupionego przez piekarza we wsi Pawłowice. Stamtąd wiatrak trafił do wsi Tworzanice, gdzie został ponownie złożony. Demontaż oglądali mieszkańcy Pawłowic, traktując to wydarzenie jak dobry spektakl. W pobliżu rozbieranego wiatraka przynoszono więc krzesła, siadano i obserwowano przebieg prac.

2004, za fotoreportaż „Drukarnia”. Rok później fotoreportaż „Próba generalna” w tym samym konkursie zajął trzecie miejsce. W Grand Press Photo 2008 mam także swój udział. Wtedy nagrodzono i opublikowano, na stronie 51, moją fotografię.

**– Do głowy przychodzi mi w tej chwili istotne mam nadzieję pytanie: jak przez te 10 lat fotografia ukształtowała cię lub zmieniła, jako człowieka?**

– Podejmując pracę fotoreportera, zacząłem stykać się z rzeczami i sprawami, które wcześniej były poza mną, były mi obce. Mam na myśli wszelkiego typu zjawiska kulturowe, społeczne, polityczne i ekonomiczne, o których nie wiedziałem, że w ogóle istnieją lub wiedziałem, że istnieją, ale tak naprawdę nie zdawałem sobie z sprawy z ich znaczenia. Inaczej wygląda dane zjawisko z zewnątrz, zaszywane z relacji, niż wtedy, gdy w nim uczestniczysz. W jego zrozumieniu nie pomoże nawet dobrze rozwinięta zdolność do przeżywania empatii. Byłem wcześniej, jak większość pewnie młodych ludzi kimś, kto kształtował swój byt w odrobinę nierealnej rzeczywistości i nie zdawał sobie sprawy z tego, w jakim naprawdę świecie żyje. Oczywiście nie uważam, żeby ta wiedza o świecie, którą zdobyłem jako fotoreporter, była do czegokolwiek potrzebna (bo jest to niekiedy wiedza deprymująca i przytłaczająca), ale dzięki niej, na swój prywatny użytek pojąłem ostatecznie i nieodwracalnie, że na świecie oprócz mnie są też inni, bardzo różni ludzie, niekiedy bardzo pokrzywdzeni przez los. Wiesz, to jest tak, że jesteś zdrowy, młody, zdolny, szczęśliwy, żyjesz beztrudnie, masz wyidealizowany obraz świata, a tu okazuje się, że obok twojego świata znajduje się wielka i bolesna strefa cienia. Kto raz przekroczy jej granicę, nigdy już nie będzie takim samym człowiekiem. To zdarzenie okazało się lekcją szybkiego dorastania. Tak właśnie było ze mną. Wystarczyła pierwsza, wiele lat temu, wizyta z aparatem fotograficznym w ośrodku dla dzieci z porażeniem mózgowym, żebym przestał postrzegać swój własny los, jako coś wyjątkowego. Zrozumiałem wtedy, że dopóki istnieją tego typu światy równoległe, dopóty człowiek nie

powinien rozczulać się nad sobą. Zacząłem więc odkrywać fotograficznie sferę cienia, niedostępną dla ogółu, ale w pewien sposób fascynującą dla człowieka z zewnątrz. Chętnie robię to także dzisiaj, chociaż świat tych, którzy nie brylują na salonach w gronie celebrytów i ludzi sukcesu, zaczął się znowu zamykać przed światem zewnętrznym i mediami, dla których i tak przestał być atrakcyjnym. Niejeden raz zastanawiałem się nad tym, czy wstydzimy się może jego inności, czy może raczej boimy się go? A może nie chcemy o nim wiedzieć? Tak jest łatwiej, wygodniej żyć? Tyle mówi się o integracji, lecz często jest ona iluzoryczna. Polega to na tym, że na przykład w szkole są klasy integracyjne, ale dzieci niepełnosprawne i tak mają zajęcia w domu, ponieważ nie ma pieniędzy na paliwo, więc jest problem z dowozem. O niepełnosprawnych mówi się tylko przy okazji świąt, przydziału funduszy, kampanii politycznych, a na co dzień cisza, nic.

**– Być może to media nie są już problemowo zainteresowane ową strefą cienia, kiedyś oglądaną z dużą dozą empatii, a dzisiaj pomijaną i ukrywaną?**

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się dzieje, ale tak właśnie jest. To jednak nie zmienia faktu, że – patrząc na mój zawód globalnie – jestem ciągle na pierwszej linii ognia. Owszem, gazety czy media jako takie mogą dowolnie kreować własne, kolorowe i w sumie oderwane od rzeczywistości wizje świata, ale fotoreporter nie powinien być ignorantem, ponieważ zna światy, które są dla wielu niewygodne. Jest więc tam, gdzie wykreowany, atrakcyjny medialnie świat wygrywa z rzeczywistością. Moja rzeczywistość nie jest już tak medialna. Praca, to poza „lajtowymi” robótkami, typu ilustracje, główki, składa się z wypadków, pożarów, różnego typu innych nieszczęść, których pełno w kronice wypadków i zdarzeń nadzwyczajnych. Co gorsza, bywa i tak, że dokumentując owe wypadki, zdarzenia i nieszczęścia stają się mimowolnym obiektem ataków lub nawet rękoczynów. Najśmieszniejsze jest to, że ci, którzy mnie atakują, następnego dnia biegną pierwsi do kiosku po gazetę lub sami szukają krwawego newsa w sieci. Dla



Druga połowa lat 80. Festiwal rockowy w Jarocinie. Na zdjęciu punki pogujące pod tzw. „małą sceną”. To podczas tego festiwalu po raz pierwszy na własnej skórze przekonałem się, jak smakuje atak na fotoreportera.

mnie tego typu informacje mogą nie istnieć i chętnie zapomnę, że kiedykolwiek tego typu wydarzenia fotografowałem. Często mówię, że współczesny fotoreporter akcji świadomie ulega zaburzeniom dysocjacyjnym osobowości. Różnica pomiędzy przypadkiem klinicznym, a fotoreporterem polega na tym, że przypadek kliniczny nie wie o innej osobie, a fotoreporter wręcz ją tworzy na potrzeby chwili. Na plażę pójdzie w bermudach, za godzinę na przyjęciu będzie bawidamkiem, a za kolejną chwilę idzie na poważną uroczystość np. w kościele i musi zmienić przynajmniej powłokę zewnętrzną. A to wszystko dzieje się tego samego dnia, często w ciągu godziny, czy dwóch...

### **– Wspomniałeś coś o rękoczynach...**

– Za komuny agresja nie była zjawiskiem tak powszechnym i nie występowała w takim natężeniu, w jakim występuje dzisiaj. Jednak w zęby zawsze można było dostać. Po raz pierwszy zostałem zaatakowany na jednym z festiwali rockowych w Jarocinie, gdzieś w połowie lat 80. Fotografowie bywali często obiektem ataków ze strony skinheadów, milicji, a później i policji. Wszyscy pamiętamy jedną z największych zadyń w jarocińskim festiwalu w sierpniu 1993 roku, gdy – o zgrozo! – ochrona zaatakowała fotoreporterów, a jeden z nich, Krzysztof Miller, został dotkliwie pobity przez ochroniarzy. Można to obejrzeć na stronie: <http://www.jarocin-festiwal.com/1993/miller.html>

Mnie zaatakowano w roku 1986, gdy fotografowałem „pogujących” punków pod małą sceną. Sytuacja mogła wyglądać groźnie z zewnątrz, natomiast dla mnie była bardziej demonstracją siły, wyznaczeniem terytorium, niż stricte atakiem, mającym na celu unieszkodliwienie osobnika. Poza tym, wtedy ludzie z aparatami często postrzegani byli jako funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa (co, niestety, często było prawdą). Generalnie jednak atmosfera była przyjazna, a ludzie dobrze się bawili. Z drugiej strony, tylko w tym roku zostałem dwukrotnie skutecznie zaatakowany. I to nie na jakimś festiwalu, czy na jakiejś zadyń, ale tutaj, gdzie pracuję, na wydawałoby się spokojnej prowincji. Nie jestem paparazzo, nie wchodzi nikomu

przez okno do domu, tylko dokumentuję bieżące wydarzenia. Zastanawiam się w związku z tym, skąd w społeczeństwie tyle agresji? Psychologowie i socjologowie tłumaczą i wyjaśniają po swojemu wzrost agresji, ale nie będę tego komentował. Mówiąc wprost, bezpieczniej czułem się na berlińskiej Love Parade, gdzie przebywało nawet półtora miliona ludzi, niż pośród setki protestujących w Polsce. I nie ma znaczenia, czy są to niegdysiejsze blokady dróg zorganizowane przez członków „Samoobrony”, czy jest to któryś z festiwali, jakiś mecz piłkarski lub żużlowy, czy wreszcie spotkania modlitewne na Jasnej Górze. Nie chcę demonizować ani dramatyzować tych faktów, ale z całą pewnością zawód fotoreportera nigdy nie był i raczej nigdy nie będzie bezpieczny. Mam tego świadomość. Z dawnych czasów połowy lat 80. w pamięci utkwił mi pewien Słowak, fotoreporter gazety z Bratysławy. Przemieszczałem się wtedy z grupą fotografów podczas festiwalu po ulicach Jarocina, a tu nagle podchodzi do nas człowiek, jakiś taki pobudzony, z rozbieranym wzrokiem i pyta, jak potrafił po polsku: „Gdzie mogę spotkać punków, skinheadów, ale najlepiej w dużej ilości?”. Mówimy mu, że wszędzie, że tutaj też ich nie brakuje. W końcu okazało się, że on, słowacki fotoreporter, po raz pierwszy w życiu widział na własne oczy prawdziwego punka i skinheada, tudzież przedstawicieli subkultur innej proveniencji. Dosłownie biegał za każdym, kto wyglądał inaczej niż ustawowy, tak zwany porządny obywatel. Kazaliśmy mu oszczędzać filmy na lepsze kawałki, ale na nim nie robiło to wrażenia, gdyż miał ich w nadmiarze. Natomiast na nas podobne wrażenie, jak na nim punki, zrobił sprzęt, w jaki był wyposażony. Chętnie podzielił się z nami filmami, oczywiście w podziękę za pomoc. Polubiliśmy go od razu! Podobne wrażenie przedstawiciele naszych subkultur zrobili na Niemcach z „enerdowa”, kiedy pokazałem im swoje zdjęcia z Jarocina. Zarówno Słowak, jak i owi enerdowscy Niemcy twierdzili wtedy, że u nich taki festiwal nie mógłby się odbyć, a tacy młodzi ludzie z subkultur byli nie do pomyślenia. Po części przekonałem się o tym przy okazji kilku wyjazdów do NRD. Co prawda nie przybywałem tam jako przedstawiciel żadnej ze wspomnianych subkultur, ale wystarczyło, że miałem dłuższe





Przygotowania do uroczystości sześćdziesiątej rocznicy powstania OSP we wsi Borowo w gminie Czempień (Wielkopolska). Zestaw fotografii pod tytułem „Próba” otrzymał trzecią nagrodę w konkursie fotografii prasowej Wielkopolska Press Photo 2005. Zdjęcia zostały zrobione w ramach „Projektu PKS”.



włosy, chodziłem w kultowej amerykańskiej kurtce M65, z marynarskim workiem na plecach. Zawsze, gdy wysiadałem z pociągu, mogłem liczyć na kontakt z enerdowskimi służbami bezpieczeństwa, które bardzo dokładnie sprawdziły kim jestem, dokąd i właściwie po co przyjechałem. Ciekawe to były czasy.

**– Mówiłeś wcześniej, że kochasz ciszę, spokój swojej podmiejskiej hacjendy, zastanawiam się więc, jak radzisz sobie z tą lawiną zdarzeń oglądanych przez wzjer aparatu?**

– Jedno drugiemu nie przeczy. Kocham ciszę i spokój, ale co jakiś czas – gdy cisza zaczyna mi dzwonić w uszach – potrzebuję nowej dawki adrenaliny. Po prostu nie lubię monotonii. Tak było i wtedy, gdy uprawiałem fotografię kontemplacyjną, a jednocześnie czułem, że ciągnie mnie do reportażu. W efekcie fotograficzny minimalizm odsta-  
wiłem na półkę i na długie lata poświęciłem się fotografii prasowej. Pracuję w pozornie chaotycznym świecie, pełnym zgiełku, nie bardzo wiadomo, gdzie śpieszącym, a odpoczywam w ciszy ładując akumulatory.

**– Jak cię dzisiaj postrzegają mieszkańcy Leszna? Widzą w tobie rasowego fotoreportera?**

– Ludzie, z którymi przychodzi mi obcować, bardziej chyba widzą we mnie faceta z aparatem fotograficznym niż autora konkretnych zdjęć. Jednak wygląda na to, że wielu zna i ceni moje fotografie, często je komentując lub gratulując udanej fotografii, którą właśnie zobaczyli w gazecie lub internecie.

**– A w redakcji?**

– W „Panoramie” mam w miarę komfortową sytuację, ponieważ gazeta, jako chyba jedna z niewielu w kraju, publikuje jeszcze fotoreportaże, może nie w pełnym tego słowa znaczeniu, ale zawsze. Składa się na to zazwyczaj kilka moich zdjęć i dobry tekst któregoś z redakcyjnych re-

porterów. Fakt ten budzi zdziwienie i niemal niedowierzanie wśród wielu moich kolegów rozsiadanych po redakcjach w całym kraju, także tych, którzy pracują dla „Gazety Wyborczej”, która dla wielu fotoreporterów jest, była fotograficznym wzorcem.

**– Ale w końcu fotoreportaż gazetowy umrze. Co dalej?**

– Owszem. W zasadzie już umarł. W Polsce nigdy nie istniał w takiej formie i ilości, w jakiej można było go oglądać w nieistniejącym już w tradycyjnej formie tygodniku „Life „lub tygodnikach „Paris Match”, „Stern”. Nieśmiało, acz często udane próby, czynili fotografowie tygodnika „Świat”, późniejszych „Perspektyw”, „ITD”. Obecnie wielu fotografów ratunku dla fotoreportażu upatruje w fotokastach, czyli połączeniu tradycyjnej fotografii z innymi technikami multimedialnymi, czyli dźwiękiem i często obrazem ruchomym. Myślę, że fotokast będzie w przyszłości jednym z alternatywnych sposobów prezentacji fotografii w sieci, na tabletach typu iPad. Owemu trendowi poddałem się również i ja. Stworzyłem kilkadziesiąt fotokastów, a kilka z nich prezentuję na swojej stronie: [www.skrobala.pl/photo-cast](http://www.skrobala.pl/photo-cast).

**– W tym miejscu przychodzi mi do głowy pytanie o realizowany w leżącym po sąsiedzku Kościanie głośny już w Polsce projekt PKS. Masz w tym swój udział?**

– Może najpierw wyjaśnijmy, że projekt PKS wymyślił Paweł Sałacki, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Kościańskiej”. Wcześniej, aby obejrzeć dobrą fotografię prasową, jeździł raz w roku do Poznania, na ogłoszenie wyników konkursu Wielkopolska Press Photo. W którymś momencie postanowił sprawę odwrócić i raz w roku zapraszać do siebie dobrych fotoreporterów. Musiał jednak znaleźć jakiś pretekst. I znalazł go w kalendarzu. Uczestniczący w projekcie fotoreporterzy wyruszają na drogi i bezdroża powiatu w dniach, których datę można zapisać jako ciąg powtarzających się cyfr. Rozpoczęli 5 maja 2005 roku (05.05.05),



Wieś Donatowo w powiecie kościańskim. Widoczny na zdjęciu rolnik stoi na tle własnoręcznie wybudowanej budki autobusowej. Budkę postawił dla swoich dzieci, które do szkoły jeździły gimbusem. Wcześniej na tym miejscu stała inna budka, też własnej konstrukcji, lecz została przez kogoś podpalona. Po tym zdarzeniu rolnik postanowił postawić nową, lepszą, którą widzimy na zdjęciu.

a zakończą 12 grudnia 2012 roku (12.12.12). Każdorazowo rejestrują życie powiatu kościańskiego próbując stworzyć fotograficzny list do przyszłych pokoleń, w którym zobrazowana zostanie codzienność ziemi kościańskiej widziana oczami wędrowców i jej mieszkańców. Fotoreporterzy losując gminę, której życie dokumentują, nie mają wyznaczonej trasy, ani listy obiektów i osób wartych uwiecznienia. Ich jedynym zadaniem jest sfotografowanie miejsc do których dotarli, oraz ludzi, z którymi rozmawiali. Wszystkie prace są dostępne pod adresem projekt pks.art.pl. Na rok 2013 planowane jest wydanie albumu ze zdjęciami będącymi plonem tego projektu. A czy mam w tym swój udział? Wydaje mi się, że całkiem spory! Dzięki organizatorowi nie opuściłem żadnej edycji, a fragment mojej pracy z „PKS 050505” został nagrodzony na Wielkopolska Press Photo. Byłem pierwszą osobą, na której Paweł przetestował swój pomysł i jak sam podkreśla, to właśnie moja zgoda na udział w tym projekcie upewniła go, że warto podjąć się tej zabawy, której efekty są całkiem poważne. Powstaje niezwykle portret powiatu i jego mieszkańców z pierwszej dekady XXI wieku. Moim zdaniem jego siła polega na tym, że przez ograniczenie temporalne i terytorialne prawie niczego nie można zaplanować, nic nie jest przekombinowane, co najwyżej „wymuszone” przez okoliczności miejsca i czasu. Ta przypadkowość spotkań fotografów z miejscami, których fotografują i ludźmi, których portretują, sprawia że gromadzimy niezwykle różnorodny materiał. Materiał ten, wzbogacony o uszczegóławiający opis, już dzisiaj jest ciekawym dokumentem, a przecież w założeniu adresujemy go do przyszłych pokoleń. Sądzę, że gdy nabierze patyny, będzie można w nim odkryć znaczenia, których dziś jeszcze nie dostrzegamy.

#### **– Daje się wyżyć z robienia zdjęć prasowych?**

– Kiedyś to były w miarę przyzwoite pieniądze. Teraz jest z tym trochę gorzej, a wynika to z faktu, że redakcje i agencje niemal przestały się interesować ambitniejszą fotografią, nie mówiąc już o fotoreportażu. Wszystkich interesuje tylko news, nawet jeżeli ten news został sfotografowany

telefonem komórkowym. Byle jak, byle było i jak najszybciej. Ambitniejsze zdjęcia też się raz po raz sprzedają, głównie przez agencje, ale w ograniczonym zakresie, ponieważ w Polsce nie ma na taki produkt odbiorcy. Praca w „Pano-ramie” zapewnia mi pewien komfort i stabilizację, choć są one okupione sporym wysiłkiem. Etat ogranicza też moją mobilność, więc na duże i ważne zdarzenia krajowe czy europejskie wyjeżdżam niestety dość rzadko. Przez siedem dni w tygodniu jestem potrzebny na miejscu.

#### **– A gdybyś nie musiał tu „czekać na wydarzenia” to ruszyłbyś w świat i powrócił do fotografii elementarnej? A może jest jeszcze coś, co cię pociąga?**

– Zanim zainteresowałem się dokumentem, swoją reporterską drogę rozpocząłem od uprawiania fotografii koncertowej. Wszystko zaczęło się w drugiej połowie lat 80. od zlecenia na dokumentację fotograficzną, jakie otrzymałem od leszczyńskiego oddziału poznańskiej „Estrady”. Pozwolono mi fotografować wszystkie imprezy, na które tylko miałem ochotę, ale w zamian musiałem przekazać na rzecz „Estrady” zestaw zdjęć. Początki były trudne, ponieważ ówczesne środki techniczne znacznie ograniczały możliwości fotografowania, a artyści byli wymagający. Zrobić dobre technicznie zdjęcie z koncertu, to było spore wyzwanie, tym bardziej dla mnie, początkującego amatora, który cały czas uczył się. Od tamtej pory nie zmieniło się tylko jedno – fotografię koncertową traktuję w sposób specjalny. Zawsze staram się pokazać artystę w zupełnie innym świetle, również tym scenicznym. Muszę przyznać, że zrobienie dobrej klatki to trudne zadanie, determinowane często wielkością artysty. Nie ma większego problemu, gdy fotografujesz Jana Ptaszyna Wróblewskiego, czy Agnieszkę Duczmal, ale olbrzymie problemy pojawiają się, gdy chcesz sfotografować artystkę, której jedynym atutem jest spódniczka szerokości papieru toaletowego.

#### **– A poza tym?**

– Cóż, gdy się pracuje dla prasy lub agencji, w większo-



Jan Ptaszyn Wróblewski, światowej sławy jazzman, koncentruje się przed kolejnym występem.

ści przypadków nie ma problemów z wejściem na koncert i zrobieniem serwisu. Problem stanowią współcześni... hm, zastanawiam się, jak ich nazwać, bo przymiotnik artysta nijak do nich nie pasuje. Pozwolę sobie na określenie „celebryci”. Co prawda nazwa ta nie oddaje charakteru wykonywanych przez nich czynności, ale każdy w zasadzie wie, o co chodzi i co się z tą nazwą wiąże. A więc ci sceniczni celebryci bronią dostępu do siebie, jak bank do sejfów. Żeby umówić się na krótki wywiadzik, trzeba niekiedy wykonać przynajmniej kilkanaście telefonów. Nie można umówić się raz, to wymaga telefonowania przez tydzień – tyle na przykład czasu zajęło mi załatwienie zgody na fotografowanie koncertu pewnej popularnej niegdyś grupy. Ci osobnicy często starają się zdecydowanie ograniczać sposób, miejsce, czas oraz pozycję, z której pozwalają się fotografować. Wyobraź sobie, że idziesz na koncert. Idziesz bez większego przekonania, ponieważ to, co masz usłyszeć raczej nie leży w zakresie twoich marzeń i zainteresowań. To raz! A dwa – dowiadujesz się od kogoś z ochrony (bo „menago” nie ma oczywiście czasu dla prowincjonalnej prasy), że nie wolno fotografować występującej pani na wprost, bo będzie widać jej bieliznę. Oczy przecierasz ze zdumienia, ale to nie wszystko, bo po chwili okazuje się, że podczas trwania koncertu ochroniarze spychają cię z linii strzału w taki sposób, abyś praktycznie nie miał szansy na zrobienie jakiegokolwiek zdjęcia. Nie chcę mówić o innych tego typu przygodach, ponieważ nie są one ani interesujące, ani zabawne. One po prostu należą do mojej codzienności, z którą muszę sobie radzić. Na szczęście celebryci, choć narobią wokół siebie sporo szumu, znikają tak szybko, jak się pojawiają. Na nieszczęście ich miejsce zajmują kolejni.

#### **– A co z prawdziwymi gwiazdami estrady?**

– To jest zupełnie inna bajka. Fotografowanie gwiazd, które od lat świecą z różną intensywnością na estradowym firmamencie nie jest dramatycznie trudne. O zgodę pytasz tuż przed koncertem. Poza tym każdy wie, co ma robić, żeby jeden drugiemu nie przeszkadzał. Wiem, że należy zachować pewne standardy, a to znaczy po prostu, że należy

fotografować w odpowiednich momentach, czyli na przykład unikać trzaskania migawką w momentach ciszy. Chodzi najzwyczajniej o to, aby nie przeszkadzać artyście jak i zgromadzonej widowni. Podczas takich koncertów nie ma ochrony i tego całego niepotrzebnego zgiełku, jaki robią wokół siebie gwiazdeczki mniejszego sortu. Z artystami przez duże „A”, porozmawiać można przed występem lub zaraz po nim. I odbywa się to zazwyczaj na luzie, w miłej atmosferze. Jednym słowem – nie ma większego problemu z nawiązaniem z kimś takim kontaktu na scenie, jak i poza nią. Pamiętam sytuację, gdy po jednym z koncertów „Poznańskich Słowików”, poszedłem do garderoby porozmawiać z profesorem Stefanem Stuligroszem, który dyrygował tego dnia chórem. Profesor, choć zmęczony, chętnie podjął rozmowę. Gdy mnie zobaczył mówi: „A wie pan, że rozmawialiśmy przed siedmioma laty po koncercie tam, a tam...”. Zaskoczył mnie tym tak bardzo, że nie wiedziałem co powiedzieć, tym bardziej, że sam dobrze nie pamiętałem tego faktu. A profesor jak zwykle nie mylił się. Wielu artystów tego formatu zna swoich fanów od lat, spotyka się z nimi po koncertach.

#### **– Wiem, że przed laty pisywałeś także do miesięcznika branżowego, „Foto-Kurier”, adresowanego głównie do użytkowników sprzętu. Co to były za teksty?**

– Moja współpraca z „Foto-Kurierem” trwała jakieś trzy, może cztery lata. Drukowałem tam przede wszystkim materiały techniczne. Jeden z tych tekstów, dotyczący legendarnego Nikona F3, do dzisiaj krąży w sieci, a zdarza się, że dostaję w tej sprawie maile od nieznanym mi osób z zapytaniem o jakiś szczegół dotyczący aparatu.

#### **– Skąd miałeś tę wiedzę techniczną? Byłeś testerem Nikona?**

– Wiedzę techniczną czerpałem z zachodnich pism, głównie anglojęzycznych i niemieckich. Poza tym byłem użytkownikiem różnego sprzętu, choćby wspomnianego Nikona F3, w prawie wszystkich jego odmianach. Fotore-





Zdjęcie należy do powstającego od kilku lat cyklu fotograficznego „Za progiem”, poświęconego małym wiejskim szkołkom, którym grozi zagłada, albo które już zostały zlikwidowane. Wiele szkół zlikwidowano ze względu na wysokie koszty utrzymania. Fotografie do tego cyklu powstały na terenie województw dolnośląskiego, lubuskiego i wielkopolskiego. Na zdjęciu boisko szkolne w sadzie, we wsi Żegrówko. Ta szkoła – jak do tej pory – uniknęła likwidacji.



porterka była znakomitym poligonem doświadczanym dla materiałów fotograficznych. Filmy „testowałem” fotografując na nich. Materiały kupowałem zazwyczaj sam, ponieważ używałem ich na co dzień. Tylko raz zdarzyło się, że otrzymałem drogą pocztową przesyłkę z londyńskiego oddziału Kodaka, w której były dwie rolki nowego typu profesjonalnego filmu prasowego. Bywało, że w kwestiach chemii i papierów fotograficznych, pomagał mi jeden z przedstawicieli handlowych polskiego Kodaka. Dostałem od niego maksymalne rabaty, jakieś bonusy, materiały techniczne. Gdy sobie zażytyłem sprowadzał dla mnie najdziwniejsze nawet materiały, dostępne w ofercie Kodaka. Dla „Foto-Kuriera” pisywałem też teksty będące recenzjami wystaw fotograficznych, tekstami o galeriach. Oczywiście był wśród nich tekst o poznańskiej galerii „pf” Janusza Nowackiego.

**– Wróćmy na chwilę do realiów leszczyńskich, Jesteś osobą znaną, rozpoznawalną. Masz „dojścia”, kontakty, ludzie na ciebie liczą, że pomożesz, że twoja fotografia coś zmieni? Jesteś człowiekiem instytucją?**

– Przede wszystkim, gdy nie muszę, to nie mieszam się do spraw wielkiego, na przykład politycznego kalibru. Robię swoje i znikam. Łatwiej w ten sposób zachować dystans do wydarzeń, czy ludzi. Bardzo cenię trud zwykłych ludzi, dlatego stawiam na fotoreportaż społeczny. Mam świadomość, że w podręcznikach historii nie znajdzie się opowieść o panu Kaziu, ostatnim kowalu z małej wsi, czy o ostatniej wiejskiej szkółce w powiecie, ale ja pozostanę przy Kaziach i małych wiejskich szkółkach, jako archetypach cywilizacji nieświadomej własnego przemijania. Jakiś czas temu rozpocząłem realizację cyklu, projektu, w którym fotografuję ludzi z atrybutami wykonywanych przez nich zawodów. Konwencja jest bardzo prosta. Na zdjęciu widać, powiedzmy, mężczyznę z siekierą, bo jest drwalem, murarza z kielnią na tle modelu domu, ale drewnianego, mężczyznę naprawiającego telewizory, czy rolnika na polu. Takie portrety wbrew pozorom nie powstają między zapowiadzaną konferencją prasową, gdzie muszę być,

a nieprzewidzianym wypadkiem na drodze, dokąd pędzę z konferencji prasowej. Te prace wymagają skupienia i czasu, a tego mi brakuje najbardziej.

**– Wyobrażam sobie, że jakiś regionalista, piszący kiedyś książkę o Lesznie z przełomu wieków, będzie szukał dokumentów z pierwszej dekady XXI wieku, to sięgnie z pewnością po twoje zdjęcia, głównie po reportaże i dokument prasowy.**

– Mam taką nadzieję. Sięgnie po nie, ale pod warunkiem, że je znajdzie. Aby materiał przetrwał, należałoby teraz pomyśleć o zarchiwizowaniu moich negatywów i bazy plików cyfrowych, na których zebrałem sporą część historii tej ziemi ostatnich dwudziestu lat. Jest tylko małe ale..., najzwyczajniej brakuje mi na to czasu. Spędzam wiele godzin w pracy, w piątek i świętek, więc gdy wreszcie zdarza mi się wolna chwila, to porządkowanie zbioru negatywów i plików cyfrowych jest ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę. Efekt? Tak jak w przeszłości nie dbałem o porządek w negatywach (przez co wiele kadrów bezpowrotnie straciłem), tak dzisiaj nie dbam o archiwum plików cyfrowych. Pewne rzeczy są dla mnie z jakiegoś powodu nieistotne. Wystarcza mi fakt, że mam zdjęcia za sobą (kiedyś na filmach, a dzisiaj w cyfrze), że one już są, więc nie muszam się do robienia odbitek, ba, często nawet ich nie oglądam. On są w mojej głowie i doskonale w niej funkcjonują. Jeżeli kadry, które uważam za udane, za pół roku podobają mi się nadal, to zaczynam myśleć o przeniesieniu ich na papier, ale jeśli tracą w tym czasie swój urok, to przestają dla mnie istnieć. Wygląda to tak, że, jak już wspomniałem, udane zdjęcia mam w głowie i za 20 lat one nadal tam pozostaną, ze wszystkimi szczegółami, ale jeżeli ktoś spyta o negatyw lub plik, to zazwyczaj nie wiem nawet, gdzie ich szukać. Mam też świadomość tego, że być może gdzieś obok mnie żyje jakiś August Sander, Jacques Henri Lartigue, czy ostatnie odkrycie – amerykańska niania Vivian Maier, fotograficzne samorodki, które fotografowały całe życie dla siebie, tak po prostu, a dziś ich fotografie zachwycają świat. W obliczu takiego samorodka moje fotografie



Śmigiejska Kolej Dojazdowa. Jeden z ostatnich regularnych kursów kolejki wąskotorowej. Fotoreportaż realizowałem w 1993 roku, tuż przed wielokrotnie odwlekaną likwidacją SKD. Kolejka z większymi lub mniejszymi przerwami kursowała na coraz krótszych dystansach, prawdopodobnie do ubiegłego roku. Na zdjęciu dawna stacja Stare Bojanowo. Budynek stacji został zaadaptowany na mieszkanie. Lokatorzy przyglądają się przejeżdżającej obok kolejce.

za lat dziesiąt mogą błędnie. Przy okazji zadaję sobie pytanie: ile redakcji w Polsce prowadzi prawdziwe archiwum, czyli takie, w którym fotografie mogą przetrwać przynajmniej 100 lat? Co po nas pozostanie, mając na myśli kulturę wizualną? Uważam, że szanse na przetrwanie mają w większości przypadków tylko odblaski. Płyty CD, DVD, na których wielu z nas archiwizuje pliki, ulegają utlenieniu, a klasyczne dyski są podatne na uszkodzenia.

**– Czytelnikom „Panoramy Leszczyńskiej” dałeś się poznać również jako autor kilku okładek. Co ważniejsze, okładki te zostały nagrodzone w ogólnopolskim konkursie organizowanym od lat przez branżowy miesięcznik „Press”.**

– To nie tak. Jestem autorem prawie każdej okładki w części fotograficznej, ma się rozumieć. Zatem co tydzień robię okładkę od strony fotograficznej. Kiedyś, gdy korzystałem z większej autonomii, robiłem również fotomontaże. Jedną z takich okładek, do której robiłem autorski fotomontaż, zdobyła w 2003 roku pierwsze miejsce w kategorii pism lokalnych prestiżowego konkursu Grand Front. Kolejną była okładką rocznicową, zaprojektowaną częściowo przeze mnie na 25-lecie gazety. Zaproponowałem w niej kontrowersyjny, jak się wydawało na początku, układ tytułu gazety. Ale to właśnie chywiło.

**– Gdy spojrzysz wstecz na swoją twórczość, to co, a konkretnie jakie zdjęcia wydają ci się najważniejsze w tym dorobku?**

– Staram się nie oglądać za siebie, ponieważ mam świadomość popełnionych kiedyś błędów. A najważniejsze zdjęcia w moim dorobku? Bardzo trudne pytanie, na które mogę nie znać odpowiedzi. Mam jedno zdjęcie, do którego wracam od lat i uważam je za ważne, jeśli nie najważniejsze w moim dorobku, bardzo osobiste. Zdjęcie przedstawia miejsce tuż obok Reichstagu, za którym stał mur berliński. Na płocie, tuż przed, powieszono krzyże z nazwiskami zastrzelonych Niemców, podczas prób ucieczki z NRD na

zachodnią stronę. Zrobiłem je krótko po obaleniu muru. Wcześniej, gdy on tam jeszcze stał, byłem w tym miejscu wiele razy, nigdy jednak nie zrobiłem żadnego zdjęcia. Nieopodal stała wieża wartownicza, którą widzę do dziś. Utkwiła głęboko w mojej pamięci. Widzę też chodzącego po niej enerdowskiego pogranicznika, spoglądającego często w stronę płynącej tuż obok Sprewy, która była w tamtym czasie naturalną granicą.

**– Co cię w tym wszystkim niepokoi?**

– Niejeden raz zastanawiałem się nad tym, dlaczego nie zrobiłem podobnego zdjęcia, gdy stał jeszcze mur?

**– I co ci wyszło?**

– Prawdopodobnie nie zrobiłem go, gdyż byłoby zbyt oczywiste. W obecnej formie, 20 lat po zburzeniu muru, ten kadr daje już do myślenia. Dla mnie wtedy widok na Berlin Wschodni, skąd przez mgiełkę wylania się słynna wieża telewizyjna, a na pierwszym planie widoczne są krzyże, był widokiem jak z koszmaru sennego. Wtedy, tam, ostatnia odnotowana na białym krzyżu śmierć uciekiniera sprzedał ją pogranicznik, którego widywałem na wieży. Wiem, że dziś trudno zrozumieć atmosferę tamtych czasów, ponieważ żyjemy w wolnym kraju, Europa nie ma granic, nikt do nas nie strzela.

**– To jest, jak sądzę, najprawdziwsza trauma, choć nie zawsze możliwa do opowiedzenia kadrem fotograficznym.**

– Fotografując w tamtym czasie południowe Niemcy, pojechałem kiedyś na dawną granicę NRD i RFN. Ludzie mieszkający w okolicy mówili mi, że pogranicznicy nie mieli w zwyczaju ostrzegać o tym, że będą strzelać, jeżeli znalazłeś się w niewłaściwym miejscu. Oni po prostu strzelali. Mogłeś tam zginąć przypadkiem, w efekcie pechowego zbiegu okoliczności, ale nikogo to po enerdowskiej stronie



Hans-Dietrich Genscher, minister spraw zagranicznych RFN, podczas wizyty w Mieningen (Turyngia, NRD) 21 lipca 1990 roku. Do formalnego połączenia obu krajów niemieckich doszło 1 grudnia tegoż roku. Podczas wizyty Genscher interesował się głównie szeroko pojętym handlem, który w tym czasie przeżywał kłopoty zaopatrzeniowe. Długo się wahał, ale w końcu dał się namówić na enerdowskiego hot-doga.

nie obchodziło. Właśnie tam, w południowych Niemczech, w Turynii, zrobiłem inne zdjęcie, które jest dla mnie nie bez znaczenia. Fotografując tę piękną krainę, dowiedziałem się, że w pobliskim Meiningen pojawi się ówczesny minister spraw zagranicznych Niemiec, Hans Dietrich Genscher. W pierwszej chwili nie chciałem tam jechać, ponieważ myślałem, że polityk takiego formatu będzie obstawiony ochroną nie do przejścia, a ja nie mam akredytacji, zero przygotowania. Posłuchałem jednak znajomego Niemca i pojechałem. Jakież było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że owszem, minister miał ochronę, ale ona była nieliczna i stała zawsze poza głównym kręgiem wydarzeń. Dołączyłem do grona fotoreporterów podążających za gościem, cały czas fotografując. Zrobiłem wtedy kilkadziesiąt zdjęć kolorowych i niewiele czarno-białych. Wartość ma dla mnie tylko jedno czarno-białe zdjęcie, na którym Genscher stoi i patrzy na enerdownskiego hot-doga, którego trzyma w dłoni. Tuż za nim tło stanowi budka z hot-dogami, jakie dzisiaj spotykamy także u nas. Genscher zjadł w końcu tego swojego hot-doga, ale tej czynności już nie fotografowałem. Jego spojrzenie na bułkę z kiełbaską było dla mnie wystarczające. Mijały lata. W tym czasie zrobiłem tysiące zdjęć, zdobywałem nagrody i wyróżnienia, fotografowałem polityków i artystów, ale jakoś kolejne zdjęcia nie zapadły mi już tak w pamięć, jak te dwa z pierwszego okresu wolności w nowej, nowoczesnej Europie. Może dlatego, że nie musiałem ich zrobić...

**– Z tego, co mówisz, wynika, że życie fotoreportera obfituje w sytuacje interesujące, ale i niespodziewane.**

– Tak to właśnie wygląda. Może więc jeszcze jedna „przygoda”. Czytałem książkę Niedenthala „Zawód fotograf”, w której ten znany fotograf opisuje swoją historię zawrócenia go przez milicję, gdy jechał z ekipą na strajk do Ursusa, innym razem zabrano mu filmy w Krakowie, i przypomniałem sobie moją przygodę z ZOMO na Warszawie. Działo się to zimą z 1985 na 1986 rok. Otóż wracając z warszawskiej Pragi, gdzie załatwiałem jakieś sprawy, poszedłem do tak zwanych kas międzynarodowych na Dworcu Central-

nym. Poszedłem tam, bo na dworze był koszmarny mróz, (26 stopni poniżej zera, według dworcowego termometru), a kasy były jedynym miejscem na dworcu, gdzie można się było tak naprawdę ogrzać. Kasy, jak to kasy, ale to ciepło... Typowa socjalistyczna estetyka stylizowana na zachodni luksus, taki za pół ceny. Aluminium, szkło, wielkie płytki, myślę że z udawanego marmuru, drewniane ławeczki, a na nich głównie bezdomni. Ludzie w łachmanach, od których dobywała się niezbyt miła woń. Zacząłem ich fotografować zapominając, że wtedy nie było wolno fotografować w tego typu obiektach. Oszczędzając film, zrobiłem kilka zdjęć i wtedy kilku panów w mundurach (pięciu lub nawet sześciu, dokładnie nie pamiętam), przypomniało mi o zakazie, grożąc przy tym wielkimi pałami. Panowie ci byli przedstawicielami aparatu ucisku, czyli osławionego ZOMO. Spokojnie i grzecznie zapytałem mnie, czy wiem, że nie wolno tutaj fotografować? Oczywiście udąłem, że nie wiem, bo i skąd miałbym to wiedzieć? W końcu przyjechałem do stolicy w małego miasteczka. Takie tłumaczenie nie pomogło. Zabrali mi aparat, a że miałem wtedy Pentaxa, czyli sprzęt zza żelaznej kurtyny, ogromnej jak na tamte czasy wartości, okazałem się jeszcze bardziej podejrzanym. Na szczęście nie zabrali mnie na komisariat, tylko „przesłuchali” na miejscu. Oczywiście zabrali filmy – wszystkie, poza kilkoma kłatkami, które miałem w kieszeni, w kasecie – i na miejscu wyjęli je z kaset, zaświetlając w ten sposób. Na nic zdały się moje protesty. Powiedziano mi wprost, że jeśli będę się stawiał, to aparat wylądował na posadzce, a przy okazji spuszcza mi tęgi łomot za stawianie oporu. Ich argumenty miały taką siłę rażenia, że już nie oponowałem. Nie ma nic gorszego dla fotografa, jak patrzeć na powolną śmierć swojego materiału. Kiedy zostałem sam, wyjąłem wspomniane kilka ocalałych klatek i założyłem je do aparatu. Aparat schowałem pod kurtkę (o zgrozo, amerykańską M65), zrobiłem dziurę w kieszeni, przez którą przełożyłem wężyk spustowy i zapiąłem kurtkę tak, aby móc wystawić tylko obiektyw i korzystając z pomiaru odległości na oko, zacząłem robić zdjęcia. W sumie niewiele tego było, bo miałem tylko kilka klatek, ale zachowały się one do dziś. Technicznie materiał jest słaby, ale ma





TPX to Krzysztof Głowicki (l. 31), który od 13 lat odsiaduje 25-letni wyrok za zabójstwo. Dwa pierwsze lata wyroku spędził w poznańskim „Młynie” (areszt śledczy przy ul. Młyńskiej w Poznaniu), a następne jedenaście w Rawiczu. Od dziesięciu lat rapuje. Zdjęcie powstało do reportażu o raperze, który zza krat wydaje płyty.



dla mnie dużą wartość sentymentalną. Wolę nie myśleć, co mogło się zdarzyć, gdyby mnie wtedy dorwano ponownie na nielegalnym fotografowaniu. Myślę, że i mnie, i mój sprzęt trudno byłoby potem złożyć w sensowną całość.

**– Przygody przygodami, ale wróćmy na moment do tego, co można by nazwać twoją drogą rozwoju i samoświadomością fotograficzną. A zatem?**

– Fotografując dla przyjemności, jak również dla wspomnianej już „Estrady”, szukałem czegoś, co mogłoby rozwijać pasję fotografowania. Czułem ciągły niedosyt, dlatego też sporo czytałem w tamtym czasie. Czytałem w zasadzie wszystko, co wpadło mi w ręce. Literatura była jednak uboga, a dostęp do niej ograniczony. Mając jednak grono znajomych niekoniecznie związanych z fotografią, zdobywałem jakoś literaturę fachową, tę techniczną oraz estetyzującą. Dzisiaj trudno zapewne zrozumieć to, że wtedy nie można było kupić jedynego na rynku miesięcznika dla fotografów mniej lub bardziej zaawansowanych, jakim było „Foto”. Jeśli natomiast kogoś interesowały zagadnienia estetyczne, teoria, trendy i fotografia wyższych lotów, czyli fotografia artystyczna, to ze wszystkich sił usiłowało się zdobyć miesięcznik „Fotografia”. Tytuł, w którym pisano o fotografii przez duże „F”.

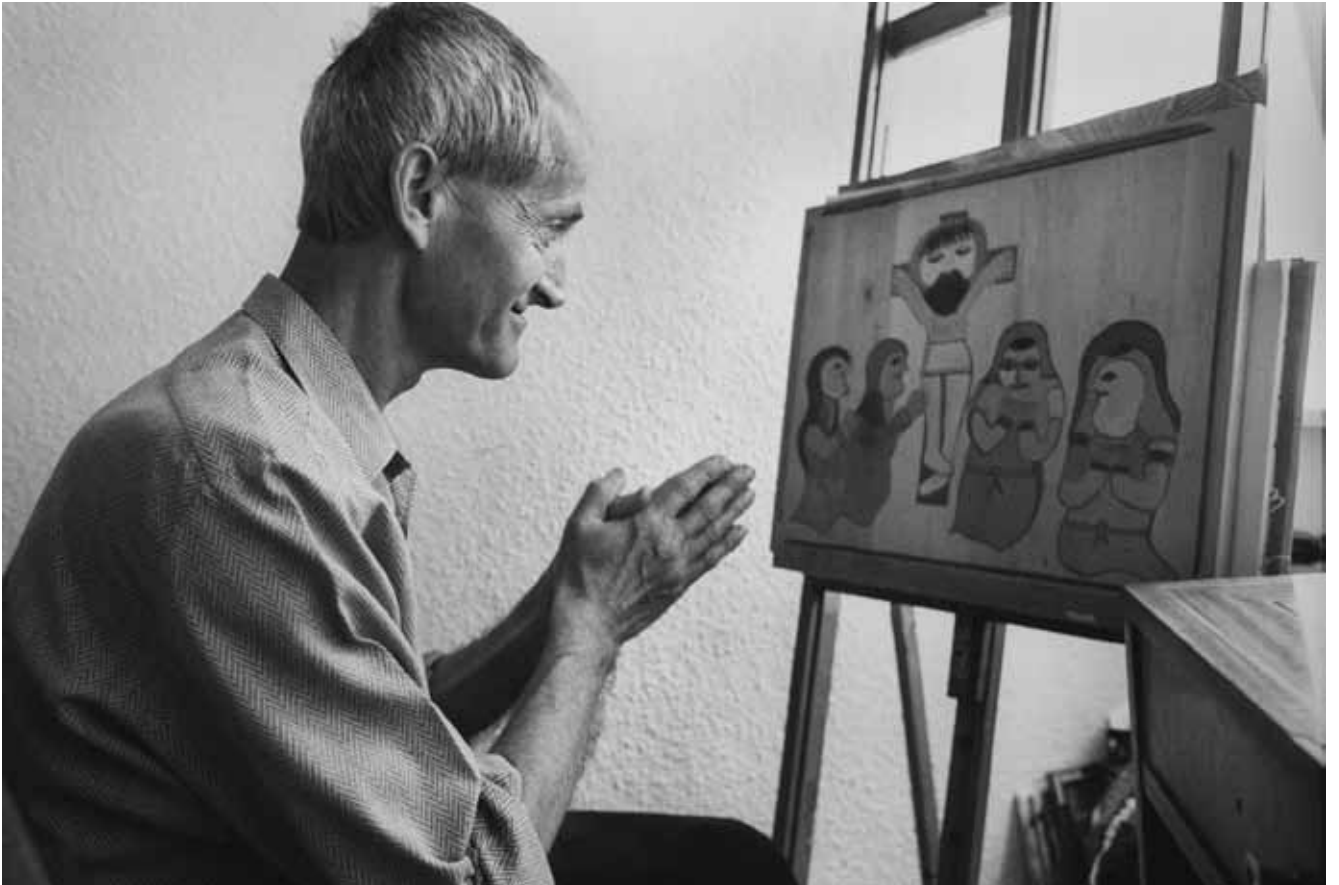
**– Ty zacząłeś od „Foto”.**

– Od „Foto”, ponieważ łatwiej można było je zdobyć. Poza tym, jak już wcześniej zostało powiedziane, przeczytałem o jednej z najważniejszych imprez fotograficznych, jeśli można ją tak nazwać, czyli o Warsztatach Gierałtowskich. Za pośrednictwem tego miesięcznika Jerzy Olek zapraszał nikomu nieznanymi fotografów, a nawet amatorów fotografii do udziału w Warsztatach. Wśród zaproszonych wtedy znalazłem się ja oraz trzy inne osoby. Po latach mam w pamięci świetną atmosferę panującą w Gierałtowie. Była ona zasługą gospodarza oraz ludzi, których zapraszał do siebie. My czworo czuliśmy się wyróżnieni możliwością uczestniczenia w tych zajęciach, ponieważ przed nami by-

wały u Jerzego same sławy fotografii elementarnej, minimalizmu i konceptualizmu. Zasadą uczestnictwa w warsztatach było robienie zdjęć na zadany temat. Nasza grupa miała za zadanie sfotografować, oddać kadrem coś, co on określił jako „nieskończoność”. Jedno z moich zdjęć, które wtedy wykonałem, niemalże zbliżyło się – jak miemam – do nieskończoności. Pokazałem na nim czarną klatkę rozjaśnioną z boku, w jednym z tak zwanych mocnych punktów, jasnym trójkątem, trójkątem światła. Zdjęcie zostało zrobione w jakiejś zamkniętej budce lub szopie góralskiej, w której między deskami pojawiła się szpara ograniczona z zewnątrz drewnem, tworząc taką geometryczną figurę. Fotografia ta w moim odczuciu wyraża najwyższy możliwy stan czystości, spokój ducha i estetyczną koncentrację. Światło, jak wiemy, jest jednym z podstawowych czynników, który wpłynął na powstanie życia na Ziemi. W latach świetlnych liczymy odległość w kosmosie i w końcu światło tworzy fotografię. Zdjęcie to potem, wraz z wystawą, objechało na przełomie lat 80. i 90. niemal całą Polskę. Z tego, co wiem, było pokazywane również na terenie dzisiejszych Czech. Warsztaty Gierałtowskie okazały się dla mnie ważnym wydarzeniem artystycznym i poznawczym, które wpłynęło na mój sposób widzenia fotografii. Dzięki niemu zbliżyłem się do konceptualizmu, który także dzisiaj jest czymś, do czego chętnie wracam.

**– Edukacja fotograficzna jest, według ciebie, ważnym elementem budowania osobowości?**

– Niewątpliwie tak, choć może nie na poziomie akademickim, ponieważ najlepsze zdjęcia robią zazwyczaj ludzie, którzy nie mają wykształcenia fotograficznego. W moim przypadku ciągle poszukiwania i eksperymenty doprowadziły mnie do miejsca, z którego, chyba nie ma już powrotu do fotograficznej „zwyczajności”. Śledząc nurty i trendy, także poznając fotografię z bliska dotarłem do zdjęć wielkich tego świata. Zachwyty nad konceptualizmem, minimalizmem i fotografią elementarną zdominowała fotografia reporterska oraz dokumentalna. Nie wiem, czy ten, w sumie nieświadomy, zwrot nie dokonał



Henryk Źarski, malarz prymitywista, uważany przez wielu za współczesnego Nikifora. Henia fotografowałem w Domu Pomocy Społecznej, gdzie przebywa od wielu lat. Fotografowałem go także u jego opiekunki duchowej, niestety nieżyjącej już Ireny Okamfer, gdzie przez lata spędzał weekendy. Heniu czuł się świetnie u Ireny. Mógł tam malować niepokojony przez nikogo.

się jeszcze w latach 80., za sprawą książki Jana Kosidowskiego, jednego z największych polskich fotoreporterów, który pracował między innymi w legendarnym tygodniku „Świat”, będącym wtedy substytutem amerykańskiego „Life’a”. Otóż Kosidowski opisał w sposób lekki i przystępny (w końcu był synem uznanego pisarza) historię swojego życia, od powojennej emigracji poczynając, aż po lata jemu współczesne. To od Kosidowskiego dowiedziałem się, że „papieżem fotografów” był Henri Cartier-Bresson. Nie wiem, czy wtedy zadziałała magia książki, ale coś się zmieniło w moim postrzeganiu fotografii, jako rejestratora rzeczywistości. W każdym razie nadal zajmując się fotografią artystyczną, coraz częściej spoglądałem w kierunku dokumentu i fotoreportażu. Powoli zaczynałem być reporterem, ale droga do uprawiania fotoreportażu była długa i wyboista. Poznawałem mistrzów gatunku, kreatywnych twórców typu Edward Steichen z jego dziełem stulecia, jakim jest „The Family of Man”, album, w którym znalazły się 503 fotografie z 68 krajów. Jeden dzień z życia planety. Fotografie z pozoru zwykłe, a jednak niezwykłe. O wielkich fotografach mógłbym mówić godzinami. Wielu z nich miało i ma nadal wpływ na mnie oraz na to, co staram się robić, dlatego więc pozwalam sobie o nich wspomnieć.

#### **– Domyślam się, że to będzie długa lista.**

– Najpierw Robert Frank, Szwajcar z urodzenia, Amerykanin z wyboru, fotograf o ugruntowanej pozycji dzięki stypendium fundacji Guggenheima. Pod koniec lat 50. udał się w podróż po USA, gdzie fotografował tak zwany głęboki przekrój ówczesnego społeczeństwa. Sposób, w jaki to robił, wywołał sporo kontrowersji. Materiał opublikował w albumie „The Americans”, do którego słowo wstępne napisał równie kontrowersyjny pisarz Jack Kerouac. Dla wielu album ten do dziś jest rodzajem „reporterskiej Biblii”. Zaledwie kilka lat później, bo w drugiej połowie lat 60., szwedzki fotograf Anders Petersen realizuje niezwykle materiał fotograficzny w jednej z knajp portowego miasta-aglomeracji, czyli w Hamburgu. Hamburg, o czym nie wszyscy wiedzą, słynie z różnych, nawet najdziwniej-

szych miejsc, jakie można spotkać w portowych miastach. Właśnie tam zaczęli swoją karierę „The Beatles”, a w Cafe Lehmitz świetnie bawiła się pewna znana „ćma barowa”, czyli Tom Waits – poeta, aranżer, reżyser, aktor i bard w jednym. Petersen fotografował życie knajpy przez blisko dwa lata. Jedną z edycji albumu „Cafe Lehmitz” zdobi zdjęcie Toma Weitsa w objęciach jednej z bywalczyń „cafe”, które znalazło się również na okładce jego płyty „Rain Dogs”. Właśnie tego typu pozycje, jak „The Family of Man”, „The Americans”, „Cafe Lehmitz”, muzyka Weitsa oraz słowo pisane Kerouaca, ukształtowały mnie po części jako fotografa reportera, fotografa dokumentalistę.

#### **– Coś z tego bezpośrednio miało na ciebie wpływ, czy cały ten zestaw był rodzajem katalizatora przyspieszającego twoją przemianę?**

– Uważam, że te, jak byśmy je dziś nazwali, projekty fotograficzne, Franka, czy Petersena zrewolucjonizowały współczesną fotografię dokumentalną. Wpłynęły więc i na moje myślenie. Pod ich wpływem w czasie późniejszym realizowałem materiały na temat ludzi grających w wielkopolską grę karcianą, zwaną „Kopem”, fotografowałem dzieci z porażeniem mózgowym, a także ludzi żyjących w ośrodkach niedostępnych dla zwykłych zjadaczy chleba. Wynikiem wcześniejszych doświadczeń był też, niestety nieukończony, materiał o Henryku Żarskim, malarzu prymitywiście, nazywanym często współczesnym Nikiforem Krynickim. Nie chcę nudzić, ale mógłbym jeszcze wiele powiedzieć na temat różnych projektów, portretów zwykłych ludzi, które realizuję lub czekają na dokończenie. Żeby to wszystko, co do tej pory zrobiłem, zebrać w sensowną całość, potrzebny byłby mi dłuugi urlop i ze dwie osoby, które pomogłyby mi w odnalezieniu się w moim „artystycznym” nieładzie.

#### **– Z rozmowy wyłania się obraz spełnionego zawodowo człowieka, mającego poważne osiągnięcia i sukcesy, może więc dla zrównoważenia znajdziesz coś, co można nazwać twoją porażką?**



Jerzy Urban, rzecznik prasowy rządu PRL w latach 1981-1989, dziennikarz, publicysta, pisarz. W latach stanu wojennego znienawidzony przez wielu Polaków za niepopularne wypowiedzi i zachowania. W latach 90. zostaje właścicielem i redaktorem naczelnym tygodnika „NIE”. Zdjęcie zrobiłem w redakcji tygodnika „NIE”, w latach 90.

– Jeszcze za komuny jeździłem z polskimi „turystami” (realizując fotoreportaż) do Berlina Zachodniego, na między innymi tamtejszy Flohmarkt. Były to regularne wycieczki osób, które niczego w Berlinie nie zwiedzały, bo zajmowały się handlem walizkowo-foliowym na berlińskim bruku. Do dzisiaj pamiętam tych początkujących biznesmenów, którzy całymi nieraz dniami siedzieli w błocie, próbując coś sprzedać, a ja starałem się ich przedsiębiorczość, na ile mi pozwalali, rejestrować. Berlin, to miasto, które bardzo lubię. Lubię też berlińczyków, którzy różnią się od pozostałych Niemców. Niestety, właśnie to miasto jest miejscem mojej największej porażki fotograficznej. Bywając tam tak często i realizując różne interesujące oraz istotne, a nieraz także lukratywne tematy fotograficzne, pomiąłem dziejowe wydarzenie, jakim było obalenie Muru Berlińskiego. Jeździłem fotografować go przed zburzeniem, jeździłem tam po zburzeniu, a przespałem moment najważniejszy, czyli burzenie. W tym czasie pracowałem nad jakimś zleceniem w kraju, którego nawet dziś nie pamiętam. Teraz wiem, że popełniłem niewybaczalny błąd, za który powinienem ponieść karę: odłożyć sprzęt fotograficzny i zająć się kopaniem rowów. Jestem pełen podziwu dla mistrzów

fotoreportażu, którzy doskonale wiedzieli, jakie wydarzenia mogą być kiedyś ważne dla świata, istotne dla ludzkości. Dzięki ich wiedzy tajemnej, dzięki intuicji i niezwykle mu wyczuciu możemy dziś podziwiać wspaniałe fotografie. Na co dzień zajmowałem się handlarzami w Berlinie, a przeszedłem obojętnie obok upadającego muru. W jaki sposób stopniować wydarzenia, selekcionować? Co fotografować? To jest pytanie, jedno z tych bardziej zasadniczych. I zawsze aktualne. Pocięsam się też mówiąc, że być może mistrzowie mieli po prostu szczęście.

© K. Sz.

© S. S.

Redakcja: Władysław Nielipiński  
Współpraca: Paweł Sałacki





Zdjęcie wyróżnione w konkursie fotografii prasowej Grand Press Photo w 2008 roku.

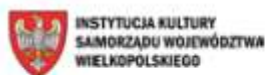
**SŁAWOMIR SKROBAŁA** – ur. w 1963 roku w Lesznie. Fotografiją zaczął zajmować się w latach 80-tych dwudziestego wieku. Współpracował z leszczyńskim oddziałem „Estrady Poznańskiej”, dla której fotografował ludzi sceny. Na przełomie lat 80. i 90. trafił do prasy. Przez kilka lat fotografował i pisał dla „Gazety Poznańskiej”, współpracował z „Głosem Wielkopolskim” i „Expressem Poznańskim”, a także z poznańskim oddziałem „Gazety Wyborczej” oraz wieloma tytułami krajowymi. Przez kilka lat publikował teksty techniczne i recenzje z wystaw dla miesięcznika fotograficznego „Foto-Kurier”. W 1994 roku rozpoczął stałą współpracę z leszczyńskim tygodnikiem „Panorama Leszczyńska”, którego następnie został etatowym fotoreporterem. Prezentował swoje zdjęcia na kilku wystawach indywidualnych i wielu zbiorowych. Wielokrotnie nagradzany w konkursach fotograficznych. Uczestniczył i uczestniczy w społecznych projektach fotograficznych. Między innymi brał udział w prestiżowych Warsztatach Gierałtowskich, a od sześciu lat uczestniczy w programie „Gazety Kościańskiej” – Projekt PKS. W czasie wolnym fotografuje lokalne społeczności w Polsce i za granicą.

**Ważniejsze nagrody:**

Konfrontacje 89 (Leszno) – Grand Prix  
Konkurs Polskiej Fotografii Prasowej 1998 – wyróżnienie  
Wielkopolska Press Photo 2004 – I nagroda  
Wielkopolska Press Photo 2005 – III nagroda  
Grand Press Photo 2008 – wyróżnienie



Zdjęcie na okładce: Mur Berliński, nazywany eufemistycznie przez propagandę NRD antyfaszystowskim wałem obronnym, dzielił miasto na dwie części przez ponad 28 lat. Pomimo zabezpieczeń wielu Niemców podejmowało próby ucieczki, forsując przeszkodę na różne sposoby. Na zdjęciu miejsce poświęcone nieudany próbom ucieczki. Ostatnia ofiara zginęła tutaj zaledwie pół roku przed obaleniem muru. Mur znajdował się kilka metrów za płotem, po lewej płynie Szprewa, a po prawej stał Reichstag, za którym stał mur. Dziś w tym miejscu znajduje się ulica, a krzyże przeniesiono w inne miejsce.



## Seria wydawnicza Fotografowie Wielkopolski

Są to rozmowy Krzysztofa Szymoniaka z działającymi w naszym województwie fotografami. Publikacje mają w przystępnej formie udostępnić szerszej publiczności ich dorobek, stanowią także ważny przyczynek do badań nad rozwojem ruchu fotograficznego w Wielkopolsce.

Krzysztof Szymoniak to związany z Kępem, Gnieznom i Poznaniem fotografujący dziennikarz, nauczyciel akademicki i poeta.

Dotychczas ukazały się:

- Waldemar Śliwczyński: **Obrazy z przypomnienia**
- Paweł Kosidd: **Jestem z miasta**
- Majej Frankowski: **Nie sprzedaje się duszy**
- Piotr Chojnacki: **Aura i sacrum**
- Bogusław Biegowski: **Moje nie-miejsca**
- Robert Andre: **Ubranie w światło**
- Stefan Wojnecki: **Zmienia się oblicze świata**
- Jerzy Mianowski: **Spełniam się każdego dnia**
- Wojciech Beszterda: **Wyprawa za horyzont**
- Monika Pogorzelec i Bartłomiej Król: **Na rozdrożu**
- Mariusz Forecki: **Mówię językiem obrazu**
- Lech Szymanowski: **Odkryć czas prowincji**
- Majej Mańkowski: **Marzenia – moja energia**
- Paweł Szott: **Być niewidzialnym**
- Henryk Król: **Oaza wolności**

Koordynator projektu: Władysław Nielipiński  
Redaktor techniczny: Ewa Oleszek

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury  
60-819 Poznań, ul. Prusa 3  
tel. 61 6640867  
foto@wbp.poznan.pl  
www.wbp.poznan.pl

ISBN: 978-83-62717-31-6